ROZMAITOŚCI.

Dnia 3 października, Ner 40. roku 1846.

FAŁSZERZE.

(Ciąg dalszy.)

„Ale cóż teraz poczniemy?” ozwała się Aryjolina po chwili zdejmując piękną dyjamentową koronę, i przypatrując się jéj miłośnie w półmroku, w którym najmniejsze jéj kamyki jak ogień połyskały. „Bankierowie odmawiają panu pieniędzy, wielcy oręża, ministrowie okrętów na żeglugę do Indyjów.”

»Te wszystkie trzy rzeczy są tylko jedną rzeczą, a tą jedną — są pieniędze!”

»Ach, gdybyśmy tylko do zdobycia królestwa pieniędzy potrzebowali!” zawołała Aryjolina z uśmiéchem. »Ale ja winna jestem kupcowi za perfumy za ląt trzy, 10,000 franków; moja garderoba wymagała 12.000 franków, mam ze wszystkiém około 50.000 fr. długów.”

»Mniéjwięcéj również i ja tyle;” — rzekł młody hrabia — „nie jestto zbyt wielka suma, lecz aby ją zapłacić, potrzeba koniecznie mieć pieniądze.”

„Zapewne,” — odpowiedziała Aryjolina półgłosem, bawiąc się koroną — »gdybyś pan nie był cudzoziemcem, kochany hrabio, miałbyś dobra we Francyi, pożyczylibyśmy sobie na nie pieniędzy, lub sprzedalibyśmy je, i moglibyśmy długi zapłacić.”

»Niestety nie mam żadnego majątku we Francyi. Wszystko co z sobą do Paryża przywiozłem, wysłałem do Malty, dla moich towarzyszów, którzy mię tam oczekują.”

»Nasi poddani rujnują nas, kochany hrabio;” — ozwała się żartobliwie Paryżanka — „mój perfumijarz był dopiéro przedwczoraj u mnie.”

»I moi wierzyciele nie dają mi spokoju.”

»Jakże sobie poradzimy, kochany hrabio?” zapytała Aryjolina, tocząc koronę swoję, jak obręcz, po atłasowéj berżerce.

„Na honor, nie wiém, Aryjolino; przed dwoma miesiącami nie otrzymam nic z Danii.”

»A po dwóch miesiącach?

»Podniosę z kasy trzykroć stotysięcy liwrów; lecz nadejdzie zima, i nie ma się po co puszczać na morze, a tak już po naszéj wyprawie!”

„Mój perfumijarz zaczeka.”

„Perfumijarz zaczeka, ale poddani nasi zaczekać nie mogą.”

Nie było rady; nigdy jeszcze żadna para królewska w takim kłopocie się nie znajdowała.

»Niéma pieniędzy!” wzdéchał hrabia.

„Niéma pieniędzy! wtórzyła mu Aryjolina.

Wreszcie po chwili niemego rozmyślenia powstał hrabia i rzekł: »Słyszałem, iż dziś jest wieczór u jenerała szwedzkiego; pójdę do niego i wynurzę mu się ze wszystkiém. Jestto człowiek ambitny; przyrzekę mu znaczny udział w nagrodę, jeżeli przystąpi do naszéj sprawy.”

„Tylko nie przyrzekaj mu za wiele!” rzekła Aryjolina, lękając się już uszczuplenia państw swoich. »Korona moja nie jest zbyt wielką!”

»Uspokój się, dumna pani! Żegnam cię; idę do ambasadora szwedzkiego. Dobra noc, moja monarchini!”

„Dobra noc, mój monarcho!”

* * *

Po odejściu duńskiego hrabi kazała Aryjolina wnieść światło. Chciała czytać aż do jego powrotu. Nocy letnie są krótkie! Kilkokrotnie przerywała sobie umyślnie czytanie, aby się wpatrywać z rozkoszą w koronę, którą hrabia na skroń jéj włożył. »Jeżli to wszystko nie jest senném złudzeniem,” — rzekła sama do siebie, — „tedy pomszczę się na téj księżnie, która mi trzy miesiące w Bastyli siedzieć dała. Skompromitować mię do tego stopnia! Nie spalić moich listów! Wydać mię przed panem d'Argenson i *abbé* Dubois! Ale jestem już wolną, i zemszczę się, jak'em jéj to przysięgła! Gdyby się hrabiemu de Faab dziś wieczór jego zamysł powiódł! Coto za rozkoszna byłaby dla mnie zemsta, donieść księżnie za pół roku, a chociażby i za rok, o mojém wstąpieniu na tron! „Królowa Aryjolina do księżnéj de Maine!” Ha! taka radość mogłaby mię zmysłów pozbawić!” — Myśląc tak o swojém królestwie, o hrabi, o niezapłaconych rachunkach, i o

księżnéj de Maine, która ją w przestrachu po odkryciu spisku Cellamare denuncyjowała — oparła się Aryjolina o poręcz krzesła, schyliła głowę na książkę, i zadrzémała. Budziło ją tylko niekiedy uderzenie zégaru na wieży Bastyli. Natenczas zdało jéj się, że jest jeszcze za rozkazem d'Argensona w więzieniu, i szeptała wyrazy gniewu przeciw księżnéj de Maine, nazywając ją głupią kokoszą w pawiéj postaci. I znowuż zamykała mrzące powieki, a po północy, coraz bardziéj rozmarzona, zapadła w sen głęboki.

Spoczywała tak może z godzinę, gdy oto razem śród okropnego trzasku i łoskotu zerwała się przestraszona. Zdało się jéj, jakby ją z wieży Nôtre-Dame na bruk uliczny rzucono. Byłoto przeraźliwe uczucie, lecz trwało krótko, i zakończyło się omdleniem.

Aryjolina zapadła się w głąb załomanéj pod nią posadzki, lecz przytrzymana kobiercem, który po różnych miejscach pokoju przymocowany, nie zupełnie w nowopowstały otwór wemknął; nie uszkodziła się bynajmniéj, i tylko jakby w ogromnym léjku wraz z krzesłem uwisła.

Przyszedłszy do siebie, ujrzała się w długiém podziemném sklepieniu, które miejscami było jasno oświetlone, podczas gdy w innych miejscach panowała zupełna ciemność, obłyskana tylko niekiedy dalekiémi pasmami światła, które w jednéj chwili pojawiały się i zaraz jak łyskawica znikały, a pochodziły bądźto od migającego nad rozżarzoném kowadłem młota, bądź od zasłanianego i odsłanianego co chwila ogromnego ogniska. Widok ten był témbardziéj uderzający, iż cała podłużna przestrzeń téj podziemnéj budowy, jakąś niebieskawą mgłą osłonięta się okazywała. Mgła ta była ciepła lecz wilgotna, jak mokre węgle, które kowale w piece rzucać zwykli. Ile razy ta mgława atmosfera stawała się uduszającą, zaraz potém zawiéwał zimny wiatr, dmący w prostym kierunku, jakby z ogromnego miechu. Aryjolina mniemała widziéć prawie zupełnie nagich ludzi, zabijających deskami ten otwór, którym w dół spadła. Zrazu gotowa była wierzyć, iż się jéj to wszystko śniło; lecz przypomniawszy sobie doznane wstrząśnienie przy załomaniu się posadzki, musiała zaniechać to mniemanie, zwłaszcza, gdy wyraźnie słyszała iż ktoś do niéj mówił, uspokajając ją na wszelkie spcsoby, i tłumacząc jéj, że ten przypadek żadną miarą złych skutków dla niéj miéć nie może, gdyż między załomaną posadzką, a spodem piwnicy, którego nawet padając, nie dosięgła; nie masz większéj rozległości nad stóp dwanaście. Aby ją témbardziéj ubezpieczyć, pokazano jéj, iż cała piwnica była grubo wełną wyścielona.

Po takich upewnieniach nie czuła już Aryjolina innéj trwogi, prócz téj, jaką ją widok tych po pas obnażonych mężów przejmował, a którzy bardzo czarno i dość dziko wyglądali. Dostawszy się pomiędzy nich w chwili ich najskrzętniejszego zatrudnienia, widziała, jak jedni z nich kuli, drudzy piłowali, inni z wielkiém natężeniem jakąś prasę w górę wznosili, która na ogromne, w ziemi umocowane kowadło spadała. A to wszystko działo się prawie bez najmniejszego huku i szelestu. Wszelki głos zamiérał prawie w chwili swego powstania; zdało się, jakby go pochłaniał ten mur wełniany, którym całe podziemie odziane było.

Podczas gdy Aryjolina cel téj północnéj pracy wytłumaczyć sobie usiłowała, czteréj robotnicy zabili deskami i łatami sprawiony załomaniem się podłogi otwor, przezco pod zgrabnémi ich rękami wszelki ślad zaszłego przypadku zniknął. Kobierzec i krzesło były znowu na swojém miejscu. Nieznaczne uszkodzenia można było na jakikolwiek inny wypadek odnieść. Dla większego bezpieczeństwa złożyli czarni robotnicy tego ponocnego dzieła pomiędzy sobą radę, aby się porozumiéć względem środków zapobieżenia nieszczęsnemu odkryciu, jakieby ztąd przypadkiem wyniknąć mogło. Obradujący usunęli się w głąb podziemia, a przy Aryjolinie, któréj serce teraz gwałtownie bić zaczęło, jeden tylko czarny mąż pozostał.

Narada trwała dość długo, a że jéj uczestnicy znacznie od Aryjoliny oddaleni byli; przeto dolatywały ją tylko pojedyńcze urwane słowa i wykrzyki, jakie każdemu pochwalnie przyjętemu lub jednogłośnie odrzuconemu zdaniu towarzyszyły. Wszakże mimo gwałtowne zawichrzenie myśli, postrzegła Aryjolina, iż najmłodsi z obradujących najwieksze umiarkowanie zachowywali, mówiąc bez uniesienia, a nawet okazując nieco politowania. Przeciwnie starsi, odgrażali się zapalczywie i widocznie coraz zawzięciéj przeciw nieszczęśliwéj się srożyli. Jeden z nich nie mógł do tego stopnia gniewu swego poskromić, iż donośnie w głos krzyknął:

»Albożnie mówiłem?! Nie przepowiadałżem oddawna, że ta spruchniała powała prędzéj czy późniéj psikusa nam spłata! Otóż teraz macie, czegoście chcieli! Gadajcież sobie, iż starzy nic nie rozumią! A przecież stary miał słuszność! I cóż więc teraz czynić myślicie? Jest tylko jedyny środek na to! mówię jedyny! Lecz wy go nie użyjecie! Témci gorzéj dla was! tém gorzéj, mówię! Litość was bierze? Nie prawdaż? Ha! więc dobrze! Obaczycie, jak na tém wyjdziecie! Wyjdziecie na szubienicę! Wszyscy, wszyscy, jak tu jesteście:»

Mowa starego została tak niechętnie przyjęta i przeciwnémi okrzykami przygłuszoną, iż on bądźto ze złości, bądź ze wzgardy, powtórnie ozwać się nie śmiał. Słyszano go tylko pod koniec obrad mówiącego: „Przezemnie! Róbcie co chcecie! Obaczymy czy stary i tym razem się mylił.”

Poczém rozeszli się obradujący i wrócili do pra-

cy. Tylko pomieniony tu starzec i jeden z jego młodszych towarzyszów, udali się jako wysłańcy do Aryjoliny.

Stary wyglądał żółto, jak lampa, którą niósł w ręku; młody miał widok człowieka w kwiecie wieku. Byłto słuszny, kształtnie zbudowany mężczyzna uderzającéj lecz ponuréj piękności. Smagława twarz jego odznaczała się wyrazem głębokiego myślenia, a może i cierpień; ciało jego świadczyło o ciągle niespokojnéj, ciągle ruchu wymagającéj sile. Stary postawił lampę na ziemi, a potém usiadł obok Aryjoliny; młody stając przed nią, ozwał się bez szczególnéj dobitności:

„Zapewnieś pani odgadła, iż jesteśmy fałszerzami.”

Aryjolina zadrzała.

„Wiész pani, iż w razie odkrycia, wplecionoby nas na placu de Grève żywcem w koło, jak to się zwykle dwa lub trzy razy do roku ludziom naszego rzemiosła wydarza, zwłaszcza takim, co jak my, złoto fałszują.”

»Co jak my, złoto fałszują...” powtórzył stary.

„Obecność pani wprawiła nas w osobliwszy kłopot. Nie jesteśmy zabójcami, i nie chcielibyśmy napróżno krwi przelewać. Lecz pani niechcąco odkryłaś naszę tajemnicę. Jedno nierozważne słowo przypadkiem z ust pani wymówione, a jesteśmy odkryci, pojmani, straceni!”

»Przysięgam panom,”— zawołała żywo Aryjolina — „iż nigdy podobnego słowa nie wyrzeknę.”

»Przysięga!” ozwał się stary ze śmiechem.

„Przysięga!” powtórzył młody, zaciskając usta. „Nic łatwiéj do zdrady nie prowadzi, jak przysięga. Oto zdarzy się, iż mamy chętkę wynurzenia się przed kochankiem, albo ślankę szampana zanadto wypijemy, lub we śnie na głos przemówimy....”

„Nie mam żadnego kochanka;” przejęła Aryjolina.

»Oto już pani kłamiesz!” rzekł młody.

»Już kłamie!” powtórzył stary, potrząsając głową.

„Ludzie, których pani tam widzisz, żądali twojéj śmierci. Byłoto także zdaniem mego brata, który tam w kącie stoi. Ja byłem innego zdania.”

»Lecz ja byłem tegoż samego;” ozwał się stary.

„Byłem innego zdania,” — mówił daléj syn starego fałszerza — „gdyż nagłe zniknienie pani, zostałoby postrzeżone. Mieszkasz w małym ustronnym domku, a zatém masz kochanka. Oczekiwałaś go pani, widać z twego stroju. Ten kochanek, nie znalazłszy pani, jąłby cię szukać, a to zawsze jest niebezpieczném. Więc nie umrzesz pani, będziesz żyła, gdyż ja tak chcę.”

Aryjolina nie wiedziała, jakiego wyrazu użyć dla okazania mu wdzięczności swojéj.

„Nie dziękuj pani jeszcze;” — ozwał się wybawca Aryjoliny — »jeszcze nie czas po temu. Zanim panią nazad do jéj mieszkania zanieść każę, mam pani jeszcze kilka prostych pytań zadać.”

„Mów pan!” zawołała Aryjolina, pełna radości, że będzie mogła wyjść z téj jaskini, i gotowa uściskać za to swego wybawcę.

»Masz pani jeszcze ojca?”

»Mam;” odpowiedziała zapytana.

„Mieszkaż on w Paryżu?”

„Jest urzędnikiem przy loteryi.”

»Majętny?”

„Niestety, ma wiele długów.”

»Ileż naprzykład?”

„Ośmdziesiąt tysięcy liwrów.”

„Masz pani brata?”

„Mam dwóch.”

„Z czegoż żyją?”

»Obaj są poborcami w Melun.”

„Mająż jaki majątek?”

»Nic, prócz swéj płacy.”

„A pani, czy jesteś bogatą?”

„Uchodzę za taką, lecz w istocie nią nie jestem. Mam bardzo wiele wydatków. Podobnie jak wszystkie kobiety, pozwalam sobie czasem niektórych zbytecznych pochętek i upodobań. Lubię wytworne mieszkanie, konie ...”

„Zatém,” — przejął ciekawy jéj zapytywacz — „nie zdziwiłoby to nikogo, gdybyś pani długi ojca zaspokoiła, i braciom dopomogła?”

„Bynajmniéj.”

Tu stary i młody fałszerz spojrzeli na siebie. Potém stary kopnął nogą murzyna, leżącego u stóp Aryjoliny, i rzekł:

„Wstań Karaibie.”

Karaib wstał.

„Przynieś jeden z worków, co tam pod trzeciém sklepieniem leżą.”

»Jaki, wielki, mały czy średni?”

„Jeden z średnich.”

Aryjolina nie pojmowała, co to ma znaczyć. Na cóż te pytania o jéj rodzinę, jéj ojca, braci, i sposób utrzymania?

Karaib przyniósł żądany worek.

Stary rozwiązał go i z radością artysty, chlubiącego się swojém dziełem, wskazał Aryjolinie treść jego.

„To fałszywa moneta;” — ozwał się młody — „każda sztuka tego złota zawiera ledwie dziesiątą część szczérego kruszcu, reszta dodatek. Jest tu dwakroć stotysięcy liwrów, a zatém więcéj niż pani potrzebujesz, aby długi ojca zapłacić, i braci wesprzéć. Napiszesz im pani, iżeś trzykroć stotysięcy liwrów od przyjaznéj ci osoby odziedziczyła, a jako dobra córka i siostra chcesz się z nimi podzielić. Więc pisz pani”

Aryjolina napisała, co jéj młody fałszerz podyktował.

»Dobrze, moja pani. Jutro otrzyma twój ojciec na ręce jednego z nas stotysięcy liwrów, i tyle téż

będzie twym braciom odesłane. Podobnież i ty, pani, przyjmiesz tu stotysięcy liwrów do dowolnego użytku. Otóż są one...»

„Jeżli się zaś wykryje,” — rzekł stary na to — »zkąd te pieniędze pochodzą, tedy ty sama, twój ojciec, i twoi obadwaj bracia, będziecie wraz z nami na placu de Grève kołem łamani.”

Młody ujął zdumiałą Aryjolinę za rękę i zaprowadził ją do miejsca gdzie się powała zapadła i znowu na prędce naprawioną została. Wysunąwszy dwie deski, i utworzywszy rodzaj drabiny z różnych ponakładanych sprzętów, powiodło się fałszerzom poddźwignąć Aryjolinę na wierzch aż do jéj pokoju. Młody jéj wybawca wyszedł z nią na górę, a podczas gdy jego towarzysze na dole otwór w powale zabijali; on na górze wszystko naprawił, i kobierzec znów przymocował. Co gdy się stało, nie można już było żadnego śladu załomania się dostrzedz, a natenczas młody fałszerz usiadł sobie wygodnie w krzesło.

„Pokój pani jest bardzo piękny,” — rzekł po krótkiéj chwili — »ale pozwól pani sobie powiedzieć, iż mieszkanie panny de Florigny jest daleko wytworniéj umeblowane. Jéj mały domek w Grange-Batellière można wzorem dobrego smaku nazwać. Również i pałacyk panny Tenais wygląda prześlicznie; lecz prawda iż ulica Ville Evêque, gdzie prawie jak w pięknéj okolicy wiejskiéj się mieszka, wiele do tego się przyczynia. Życzyłbym pani sprawić sobie meble, jakie ma panna Ronsard; te co tu widzę, są już nieco spłowiałe. Każ pani je odnowić, wszakże masz smak tak trafny.”

„Któż jest ten człowiek?” zapytała się w duchu Aryjolina. „On zna wszystkie modne piękności, jak Richelieu. — Usłucham rady pańskiéj;” — odrzekła kochanka hrabiego de Faab głośno, chociaż jeszcze z niezupełnie odzyskaną spokojnością. „A mogęż się pana spytać, kto pan jesteś?”

»Fałszerz, jak pani wiadomo;” odpowiedział zapytany, biorąc ją za rękę i spoglądając na nią tkliwém spojrzeniem, które zarówno jéj ciekawość jakotéż i bojaźń obudziło. »Lecz żegnaj pani; już dzień się robi, a bawiąc tu dłużéj, mógłbym się pani naprzykrzéć. Nie lękaj się pani niczego. Sądzę iż twoi służący spią, nie będę ich wcale budził.”

To rzekłszy wyjrzał z okna, jakby mierząc wysokość jego od ziemi, uchwycił się za ramę od okna, i spuścił się lekko na ziemię; poczém przebiegł szybko kilka sąsiednich ogrodów, i zniknął w cieniach zamierającéj nocy.

* *
*

Plany, które hrabia de Faab księciu Richelieu i ministrowi Dubois w części przedłożył, nie były w gruncie tak romantyczne, jak na pierwszy rzut oka się wydawały. Główną poetyczną, a przeto słabą stroną tego pomysłu było to, iż jego twórca, w ośmnastym wieku, w czasie, kiedy Filip Orleański był rejentem Francyi, a kardynał Dubois ulubionym ministrem rejenta; śmiał liczyć na pomyślny skutek rozsądnego przekonania w Paryżu; a przecież byłoto przekonanie równie rozsądne jak uzasadnione; sposobność zrodziła je w umyśle hrabiego, zastanowienie wypielęgnowało w dojrzałość, a natchnienie rozprzestrzeniło w kolosalne rozmiary.

W dwunastym wieku byłby hrabia de Faab nieochybnie wyprawił się do Palestyny dla oswobodzenia Jerozolimy; w ośmnastym wieku postanowił odebrać Anglikom Indyje wschodnie, nie zważając na żadne trudności i przeszkody, chociaż ich liczby ani ważności w swoich wyrachowaniach wcale przed sobą nie ukrywał. Podczas gdy królowie europejscy w swojém uporczywém lekceważeniu nie dostrzegali niezmiernéj rozległości, w jaką polityczna i handlowa potęga Anglii przez ujarzmienie Indyjów wzrastała; podczas gdy między tymi nieprzezornymi monarchami, zaledwie dwóch lub trzech takich było, co za swoje milczenie do tego jawnego przemagania Brytanii na wschodzie, przynajmniéj kilka małych, i równie bez niebezpieczeństwa przez Anglików odstępowanych, jak z łatwością kiedyś nazad odjąć się mogących powiatów uzyskać dla siebie umieli; znalazł się skromny duński szlachcic, który tę kwestyję wcale inaczéj, i to daleko lepiéj pojmował, niż ją cała marynarka Ludwika XVI, a nawet olbrzymie plany Napoleona, w ośmdziesiąt lat późniéj rozwiązać podołały.

Jeszcze w piérwszéj młodości przez rząd duński gubernatorem posiadłości duńskich w Indyjach mianowany; był hrabia de Faab w stanie, obliczyć na miejscu rozmaganie się potęgi angielskiéj i środki, jakiemiby się jéj oprzéć można. Tę środki oporu były wprawdzie bardzo rozerwane, lecz w całych Indyjach objawiał się żywy opór. Wokoło jednego angielskiego buta, korzyło się dziesięć nagich nóg birmańskich; szło więc tylko o to, aby wzmiankowane tu środki oporu skoncentrować, sam opór uorganizować, a wreszcie i owe straszne zarazy, które częstokroć w jednym dniu całą załogę niejednego miasta wytępiały, w pomoc do dzieła wezwać. Dla zorganizowania zaś oporu, nie należało, jak późniéj tego doświadczano, dać wpółujarzmionym narodom indyjskim domyślać się, iż przeto jedynie wygnania Anglików się pragnie, aby ich miejsce zająć. Birmanom nie o to chodziło, aby tylko barwę odmienić, i zamiast angielskim leopardem, francuzką liliją się napiętnować.

Kilkuletni świadek boju między dawnymi władzcami kraju a nieprzebłaganymi żołdakami kompanii londyńskich kramarzy; pojął hrabia de Faab, iż ten, ktoby szczérze na przywrócenie dawnych indyjskich książąt się zgodził; łatwoby wszystkich Anglików

z Indyjów za morze mógł wyparować. Zamiar restauracyi wydziedziczonych władzców krajowych połączyłby wszystkie ludy indyjskie, któreby się natenczas uczuły dość silnémi, aby nawet siebie samych w należytéj karności i wytrwałości utrzymać, czego dotąd niestety nie zdołały.

W czasie, kiedy hrabia de Faab swojém rycerskiém przedsięwzięciem się zajmował, były główne twierdze indyjskie nie zbyt obronne i trudne do opanowania; zwycięzcy Anglicy, pogardzali nędznymi krajowcami, i nie bardzo się przeto przeciw możebności ich powstania ubezpieczali. Nie potrzeba było uderzyć zarazem na wszystkie warownie angielskie; wystarczało pochwycić niektóre miejsca, służące za klucze do różnych prowincyj i rzek spławnych; rana w mózgu, pociąga za sobą otrętwienie całego ciała.

Faab znał wiele warownych miejsc nad Gangesem, a nawet plany ich w ciągu swego pobytu w Indyjach pozdejmował, i wiedział przeto, że ich położenie, dla tych jedynie ludów trudne do zdobycia, które żadnych postępów w sztuce wojennéj nie uczyniły, w obec biegłego w niéj nieprzyjaciela, wiele słabych stron odsłaniało.

Przewidując, iż przy powstaniu narodowém przeciw uzurpacyi angielskiéj, nie tyle na tęgich pięściach, ile na pojętnych głowach zbywać będzie; starał się Faab w Danii i w Niemczech o samych tylko naczelników, mianowicie inżynijerów i oficerów artyleryi; od Francyi zażądał on tego, czego ona zawsze podostatkiem miała, to jest, tłumu rycerzy fortuny, których całe bogactwo i wszelkie pod słońcem nadzieje w jednym orężu polegały. Zato zaś miała tylko Francyja z odniesionego zwycięztwa korzystać; wszystkie traktaty handlowe z przywróconymi książętami indyjskimi, miały być wyłącznie na korzyść narodu, który im do odzyskania ich berła dopomógł. Widzieliśmy jednak, jak mało otuchy pierwsze kroki hrabiego de Faab u ministra Dubois rokowały.

Ponieważ nie ma ludzkiego przedsięwzięcia, któreby w sobie pierworodnego grzechu osobistych widoków nie ukrywało; przeto miał też i hrabia de Faab swoję część zysku w téj sprawie. Chciał on zająć miejsce pomiędzy małymi książętami indyjskimi, dla których dobra pracował. Chciał on przyjąć ich obyczaje, zwyczaje i religiję pod warunkiem, aby wraz z ich dynastyjami własną mógł założyć dynastyję. To miało być jego nagrodą; była ona wielką, zapewniano mu ją; jakoż była ona słuszną. Z nim miało się zacząć panowanie cywilizacyi, wszakże nie cywilizacyi pałasza, lecz prawéj władzy. Indyje miały bydź przez Indyje ucywilizowanémi.

Po dworach północnéj Europy mówiono sobie, iż hrabia de Faab był więcéj niż synem książęcym; on sam był również tego zdania; lecz ojciec jego nie myślił za przykładem Ludwika XIV, o ustaleniu przyszłości swoich dzieci nieprawych. Faab musiał sam o sobie myślić; sam szczęścia i stopni się dobijać. Wysłany od dworu duńskiego do Indyjów, przetrawiał on przez kilka lat ten plan w sobie.

Aby dworowi duńskiemu powodu do surowości nie dać, a u dworu francuzkiego podejrzenia nie wzbudzić; przyjął nasz bohater tytuł hrabi de Faab, majętnego obywatela z Jutlandyi. Pod tém pożyczoném nazwiskiem uszedł on ciekawości policyi, która pod rejencyją Filipa Orleańskiego, równie źle usługiwaną była jak za króla Dagoberta. Żyjąc bez wystawności, czasem nawet niedogodnie, spędzał on znaczną część dnia u Aryjoliny, młodéj, w modzie będącéj damy, z którą przypadkowie na balu znajomość zabrał. Zakochał się był w niéj najprzód dla jéj piękności, następnie dla jéj dumnego, mocnego charakteru; była ona też w istocie najodpowiedniejszą kochanką dla człowieka, który chce zostać królem, i aż do chwili, kiedy nim zostanie. Po téj chwili dostępuje taka kobiéta stopnia wyższego nad sam stopień królowéj, to jest, pozostaje kochanką króla. Któż słyszał kiedy o małżonce Henryka IV, albo Ludwika XIV, a któż nie zna Gabryjeli d'Estrées, i pani de Montespan?

* *
*

Było już prawie południe, gdy hrabia de Faab do małego domku przy ulicy Cerisaine wrócił. Tuż obok łoża Aryjoliny stało duże poręczowe krzesło; hrabia siadł w niém znużony. Przyzwyczaiwszy się wyczytywać w jego obliczu najgłębsze jakoteż i najprzelotniejsze wrażenia; postrzegła natychmiast Aryjolina, iż jéj przyjaciel u ambasadora szwedzkiego był nie tak miernym jak zwykle. Jasne jego włosy spadały w nieładzie około głowy, a bladość twarzy odbijała dziwnie przy niezwyczajnym blasku oczu, które niestale z przedmiotu na przedmiot się błąkały. Mowa jego była żywą, lecz nie mogła zbyt szybkiemu napływowi myśli wystarczyć. Byłto prawie stan pijanego, ale oraz byłoto i gorączką.

Opiérając się drżącą ręką o łoże Aryjoliny, która dopiéro nad wieczorem wstać chciała, aby pojechać na operę; rzekł hrabia do niéj: iż wraca ze śniadania, od którego nie mógł się żadną miarą wymówić.

»A zatém trwał bal aż do téj chwili?" spytała Aryjolina.

„Nie, piękna przyjaciółko, źleś mię zrozumiała. Śniadanie to było gdzieindziéj, nie u ambasadora. Wyborne śniadanie, jakie tylko Francuzi dawać umią. Nie pamiętam, abym kiedy jadł podobne."

„Lecz mi pan nie mówisz, u kogo to śniadanie było."

„Gdybyś pani mi to powiedzieć chciała, byłbym jéj mocno zobowiązany."

„Jesteś dziś w bardzo dobrym humorze, panie hrabio.”

„W niezbyt dobrym;” — odpowiedział de Faab wzdychając— „lecz nie jestem istotnie w stanie zaspokoić ciekawość pani. Wiém tylko tyle, iż hotel, do któregośmy po balu u ambasadora się udali, był jednym z najspanialszych, jakie mi się widzieć zdarzyło, odkąd jestem w Paryżu. Schody jak w Luwrze, liberyje od złota i atłasu, sale jak w pałacach czarodziejskich. A co za śniadanie!”

»Przecież pan wiesz, iż niepodobieństwem jest, aby tak bogaty człowiek był nieznanym.”

„Pytałem gości, którzy wraz zemną na tém śniadaniu byli, jak nasz gospodarz się nazywa, lecz nikt nie umiał mię oświécić.”

»To rzecz szczególna, a nawet nieprzyjemna. I jestże on szlachcic?”

„Tak wszyscy sądzą.”

„Cudzoziemiec?”

»Zdaje się. O, nie zapomnę nigdy téj łakotnej potrawy, którą śród śniadania zastawić kazał!”

„Zapewne pasztet z pereł prawdziwych?” zapytała Aryjolina szyderczo.

„Jeszcze coś lepszego; gniazda jaskółcze, jakich nigdzie, oprócz w Indyjach, nie jadłem. Ten jeden półmisek kosztował go przynajmniej 1000 liwrów. Smakując w téj potrawie, zapomniałem, iż mię poseł szwedzki z niczém odprawił.”

»Z niczém odprawił?!” zawołała Aryjolina.

„Nie chciał mnie nawet słuchać. Pełen zmartwienia poszedłem na to śniadanie. Cóżto za niezrównane przysmaki, te gniazda jatkółcze! Wino z Aï działa nieco zbyt mocno po nich.”

„Postrzegam to;” pomyślała sobie Aryjolina.

„Nareszcie,”— ozwał się de Faab daléj — „przyjdzie tych wszelkich ulubionych nadziej się wyrzec. Lekkomyślność tutejszéj szlachty pociąga nas mimowolnie do naśladowania. Nałożyli mię oni do swego francuzkiego lenistwa, do szczęścia! Niech kto inny sławy szuka; jestto zbyt trudny i przykry zawód. Jakże twoja ręka pod tą przeźroczystą tkanką, biało i pulchno wygląda, Aryjolino! Kochajmy się luba! To szczęście, to sława!”

„Co za rozczarowanie!” szepnęła Aryjolina. »Oni go tam zdetronizowali, a moja korona...”

»Ale, ale,” — rzekł de Faab daléj, zwracając się wpółsenny ku łożu Aryjoliny — „ponieważ pani tyle na tém zależy, aby nazwiska naszego gospodarza się dowiedzieć, tedy powiém pani przynajmniéj, co o nim mówiono, gdyż nie było go w domu.”

„I cóż więc mówiono?”

»Mówiono sobie cichaczem, iż pieniądze jego pochodzą...”

„Ze złodziejstwa może?”

»Nie; u złodzieja śniadaniaśmy nie jedli. Pochodzą od pewnéj staréj damy, która się w nim kocha.”

»Musi być bardzo stara, jeźli tyle mu daje.”

„Ja, który nie jestem tak dowcipnym jak pani, Aryjolino, byłbym pwiedział, iż musi być bardzo bogatą. Lecz pani jesteś Francuzką, a ja tylko Duńczykiem; o, jesteś pani istotnie zachwycającą Francuzką. Nie widziałem pani nigdy tak piękną, jak dziś rano.”

„To zapewne gniazda jaskółcze tę złudę sprawiają.”

Faab rozpiął kamizelkę.

„Nie mówi już ani słowa o ambasadorze, ani słowa o swym zamiarze. Wyszedł ztąd królem, a wrócił rozpustnikiem. — Spodziéwam się,” ozwała się w głos Aryjolina — „iż pan jutro pomyślisz znowu o środkach, jakiemibyś celu swego mógł dopiąć.”

Faab rozwiązał chustkę z szyi, i odłożył ją na stronę.

»Zaniechałem już tego zupełnie, Aryjolino; zaniechałem na zawsze. Ta dzisiejsza noc zabawy przyrzeka mi dłuższy szereg innych podobnych, a więcéj niczego już nie pragnę.”

»A przyjaciele pańscy, którzy cię w Malcie oczekują?”

„Wrócą się nazad do domu.”

Aryjolinie kipiała krew ze złości. To nagłe zrzeczenie się wszelkich ambitnych zamiarów przez człowieka, z którego teraz wprawdzie tylko wino przemawiało, ledwie jéj do wściekłości nie przywiodło.

„Tak tylko tchórz mówi!” zawołała, trącając spoczywającego w krześle hrabię, btóry miał wielką ochotę usnąć. „Jesteś pan mężczyzną, a drzysz przed niebezpieczeństwem? Cofasz się, nim jeszcze zawadę napotkałeś? nawet niedołęgi czekają przynajmniéj, aż niebezpieczeństwo nadejdzie. Jesteś księciem, a zapachy piérwszego lepszego festynu zamąciły ci zmysły, jakgdybyś był przedmieszczanem z ulicy »baraniéj”, który nigdy nic innego nie zasmakował, jak swój rosół ze sztuką mięsa. Wino głowę panu zawróciło. A zresztą, dobrze, niech i tak będzie; każdy działa podług swego własnego upodobania; lecz przyjaciół pańskich, ludzi których skompromitowałeś, opuszczać, wyrzekać się ich w przeciwnościach — na takie postępowanie nie znam nazwiska. Jeźli ci poczciwi ludzie nie są pana przyjaciołmi, tedy sąto przynajmniéj twoi słudzy, a u nas we Francyi, kto swoje sługi odprawia, ten im wprzódy płaci, co im jest winien. Oto ich zapłata!” dodała Aryjolina, rozrzucając po pokoju garścią pieniądze, wyjęte z przyniesionego z sobą worka, który pod poduszką schowała.

„Zkąd te pieniądze?” zapytał Faab już z większą przytomnością umysłu.

»Może od pańskiego nieznajomego;” odrzekła Aryjolina, woląc odpowiedzieć żartobliwie, niż dać dostrzedz swego zmieszania.

»Nie, nie! Chcę wiedzieć zkąd te pieniądze!
»Przyniesiono je dziś rano w tym worku dla pana.«
»I wymienionoż mnie?«
»Wymieniono.«
»Zapewneto książę de Richelieu dla mnie przysłał.«
»Mylisz się pan, ktoś wyższy od Richelieu'go.«
»A więc minister. Masz pani słuszność. Jestto zachęta, abym odwagi nie tracił. Tak, tak, pieniądze te pochodzą od kardynała Dubois.«
»Może się pan znowu mylisz....»
»W takim razie, któżby mi je mógł przysłać?«
»Czyż pan nie widzisz nikogo **nad** kardynałem?«
»Rejent!«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 39ty i zawiéra: 1) O oszczędném użyciu oborniku w rolnictwie. (Ciąg dalszy.) 2) Zwyczajny mech zastępuje słomę i siano w karmie bydła. 3) Czy lasy zasiewać, czy ich zasadzać? 4) Środek przeciw śnieci w pszenicy. 5) O jabłkach cikadynach czyli rosyjskich lodowatych. 6) O przyczynach, dla których tak często chybia groch w ugorze i następująca po nim ozimina. 7) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Thiers, którego »Historyja konsulatu i cesarstwa« już ku końcowi zmierza, ma jeszcze raz ująć pióro dziejopisarskie, i obadwa dzieła swoje o rewolucyi francuzkiéj, historyją restauracyi jakoteż obecnego panowania uzupełnić. W tym celu najął *willę* w pobliżu Paryża, aby tam oddany samotności, ogólny układ zamierzonego dzieła rozmyślić, a następnie z różnych biblijotek i archiwów ministeryjalnych materyjałów zasięgnąć.

Mehmed Ali, który, jak wiadomo, niedawno był w Konstantynopolu, musiał te odwidziny nieco zbyt drogo przepłacić. Wysłał był naprzód swoim tameczným bankierom 40 milijonów piastrów (10 milijonów franków), a sam przywiózł z sobą drugich 10 milijonów; lecz to wszystko nie wystarczyło na opędzenie wszelkich wydatków a mianowicie zwyczajnych w takim razie darów, a w końcu musiał jeszcze 10 milijonów długu zaciągnąć. Sułtanowi darował 8 mil., matce sułtance 6 mil., sułtance Esmie 4 mil., każdéj z pań seraju po 600.000, wielkiemu wezyrowi i seraskijerowi 750.000, wszystkim innym ministrom 500.000, kilku podrzędnym dygnitarzom po 300.000, 20.000 i 10.000. Prócz tego obarczono go mnóstwem próśb, z których największą część zaspokoił. Pewna Turczynka wyraziła w prośbie, iż wprawdzie ma co jeść, lecz nie ma gdzie mieszkać; Mehmet kazał jéj natychmiast 15.000 piastrów na zakupienie domu zapłacić. Nie zbywało też na bogatych darach wzajemnych, i tak od sułtana otrzymał stary wicekról przepyszny dyjament, ważący 24 karaty, a od matki sułtana 6 złotych waz, wysadzanych dyjamentami.

Klasztor chiński w Neapolu. Stoi on na wzgórzu *di san Severino di capo di Monte,* i należy do propagandy, która tu pewną liczbę młodych Chińczyków wychowuje, aby ich późniéj jako misyjonarzów do ojczyzny wysyłać. Można tu widzieć razem większe niż gdziekolwiek indziéj grono osób tego osobliwszego narodu, a nadto znajdują się tu jeszcze wizerunki dawniejszych wychowańców, którzy po większéj części jako męczenicy swego powołania zginęli, a których prawdziwie chińska fizyjonomija o zwykłych szérokich twarzach i w wązkiéj oprawie ospałych oczach, w zakonnym jezuickim stroju, nader dziwnie wygląda. Wszyscy uczniowie mówią po łacinie lub po włosku, a na żądanie zapisują się chętnie po chińsku w imiennikach podróżnych.

Wartość owadów. Mało kto zastanawia się nad tém, jak wielkiéj wagi są nasze powszednie owady w handlu, i jak wysoką wartość pieniężną mają. Sama W. Brytanija płaci rocznie 1 milijon dolarów za suszone ciałka maleńkiego owadu, koszenilę *), a inny owad indyjski, szelak **), jest prawie tejże samej ceny. Przeszło półtora milijona ludności utrzymuje się jedynie z uprawy jedwabników, które corocznie za 200 milijonów dolarów jedwabiu wydają. Anglija płaci rokrocznie pół milijona dolarów za miód. A ileżto gałek galasowych (dębianek) bywa coroku na atrament i do farbowania spotrzebowanych, podczas gdy lekarze milijony muszek hiszpańskich do lekarstw używają.

Nowa roślina warzywna. W przeszłym roku uczyniono w Niemczech, w Brunświku, doświadczenie z uprawą nowéj rośliny warzywnéj, a ponieważ takowe nad spodziw pomyślnie się powiodło; przeto zaczęto ją teraz na większy rozmiar uprawiać, i można z pewnością tuszyć, iż ta wyborna roślina w krótkim czasie wszędzie się upowszechni. Jeszcze w r. 1844 zasłynęła w Londynie tak zwana »szczawiowa koniczyna« *(oxalis Deppei esculenta)*, zaprowadzona tamże przez berlińskiego ogrodnika Deppe. Piérwsze jéj pojawienie się w Europie nastąpiło w r. 1827, a w dziesięć lat późniéj przyszło kilku osobom w Lièges na myśl, używać jéj do potraw. Przy swoim żółtym, złotawym kwiecie jest ona zarazem piękną rośliną ogrodową, która w tłustym, dobrze uprawionym gruncie bujnie się rozrasta. Liść jéj spożywa się jako sałatę; najsmaczniejsze jednak są korzónki. Z końcem października lub w początkach listopada dobywa się *oxalis Deppei* z ziemi, i znachodzi się pomiędzy jéj krzaczysto rozrosłemi, cebulkowatemi korzeńmi 4 grube, przydłuższe korzónki w kształcie buraków, które nieco do szparagów podobny, lecz o wiele delikatniejszy i aromatyczniejszy smak mają. Gotuje się je w wodzie solonéj, i jé się takowe z przyprawą z świéżego masła i żółtka. Sporządzone tak jadło zadawalnia najwybredniejszego smakosza i jest bardzo pożywne i zdrowe. Z tych wszystkich powodów, jakoteż dla swojéj łatwéj uprawy a nadzwyczajnie wielkiéj plenności, zasługuje ta roślina na powszechną uwagę i jaknajskorsze rozmnożenie.

Aparat dla nurków. W Rouen uczyniono powtórne doświadczenie z tak zwanym Gilbertowym aparatem dla nurków. Człowiek w zupełnie opiętym ubiorze z kauczuku, mając wpół metalowe okrycie na głowie, zanurzył się w Sekwanę. To okrycie głowy, odziéwające zarazem twarz całą, i do reszty ubioru przymocowane, ma z przodu dwa duże śkła i pęcherz, przez który nurek za pomocą pompy potrzebne do oddechania powietrze sobie sprowadza. Na nogach ma on ciężkie, ołowiem podkute sandały, a również ołowianą obrączkę wokoło szyi, lecz to wszystko jest

*) Czerwiec, owad ciemno-czerwonawego koloru, który jaja swe w korzónkach rośl. Kosmyczka i Biedrzyńca kładzie. Niegdyś ważny dla handlu polsk., a teraz zaniedbany. — Cochenille, owad amerykański.

**) Szellak — owad owalny, czerwony, do wsz: podobny; płyn, który wyrabia, używany do lakieru gummowego, niemniéj na lep ptasi. *P. R.*

tak urządzone, iż nurek tego ciężaru, który tylko ku têm prędszemu zanurzeniu go w wodę ma służyć, z łatwością pozbyć się może. Wrzucono najprzód mały warstat stolarski, kilkoro narzędzi i dużą deskę w rzekę. Nurek przepiłował deskę, zrobił z niéj skrzynkę i po trzygodzinném bawieniu pod wodą, wrócił ze skrzynką nazad na górę. Potém wydostał narzędzia, i powróz do warstatu przymocował, który także z wody dobyto. Cała ta próba, jak twierdzą, wcale nurka nie utrudziła.

Mali Bentleici. Do tylu pomniejszych sekt religijnych, w jakie Anglija a osobliwie Ameryka północna obfitują, przybyła teraz nowa sekta, założona w części posiadłości gminy Socyjalistów w New-Harmony, koło Stockbridge, w Haagshire, nazywająca się od swojéj osady Little-Bentley »Mali Bentleici«. Ci mali Bentleici żyją w zupełnej spólności żon i mężów, jakotéż wszelkiego majątku, i przyjmują w swoje grono każdego, kto tylko ma ochotę, i chce się do ich przepisów zastosować. Przy wstępie do ich społeczeństwa zrzeka się każdy członek swego dotychczasowego nazwiska i składa cały majątek, jezli ma jakowy, do spólnéj kasy, lecz w razie wystąpienia ze społeczności, nie może go odbierać. Mali Bentleici żyją jedynie surowym nabiałem i pokarmem roślinnym, i nie mają ani łóżek ani krzeseł. Przytém odmawiają sobie wszelkiéj uciechy, rozrywki, a czytanie dzienników i książek, prócz jednego pisma św., w którém głównie prorokiem Jezajaszem się budują, jest im surowo zabronione. Mężczyźni zapuszczają brody i noszą długie włosy.

Matematyk gminny Lacomme. Dziwna pomyłka policyi sprowadziła niedawno osobliwszego człowieka przed trybunał policyi poprawczéj w Bordeaux; byłto słuszny, silnie zbudowany mężczyzna, w grubéj, wełnianéj bluzie, oskarżony o sprzeciwianie się służbie publicznego bezpieczeństwa. Nazywa on się Lucomme i nie umié ani czytać ani pisać, nie uczył się nigdy niczego innego prócz tkactwa, lecz posiada nadzwyczajną i zdawna wydoskonalaną w sobie zdolność do rachunków i geometryi. Rozwiązał on najzmudniejsze zadania, i to niektóre z większą niż najsławniejsi matematycy dokładnością. Dyktując z pamięci, ułożył on książkę, którą sam sprzedaje, i w któréj znachodzi się bardzo jasny i trafnie do uczenia zastosowany przegląd arytmetyki i geometryi, wraz z rozprawą o obliczeniu szescianów i wynalezieniem stosunku średnicy do obwodu, a szczególnie rozwiązanie tego ostatniego zadania ma tu być dokładniéj przeprowadzone niż u samego Archimedesa. Zupełny stosunek między średnicą a obwodem uważa się w matematyce za niepodobny do wynalezienia; jestto owa sławna kwestyja o kwadraturze koła, którą wszystkie zgromadzenia uczone jako wcale niedorzeczném zadaniem zajmować się daléj nie chciały. Otóż Lacomme wynalazł to rozwiązanie, i to bez pióra i atramentu, a dowód jego jest dla każdego zrozumiałym, i publicznie go téż przed trybunałem przy najusilniejszéj uwadze słuchaczów wykładał. Tożsamo uczynił on był na ulicy, tłumacząc swoje zdania licznie zgromadzonemu gminowi, a policyja, mniemająca go obłąkanym, wzięła go pod straż, i polawszy mu głowę zimną wodą, zamknęła go na 6 tygodni do aresztu, aż wreszcie trybunał policyi poprawczéj niewinnym go uznał. Być łatwo może, iż ta doznana krzywda wyjdzie mu na szczęście, a na każdy wypadek wielki wpływ na cały los jego wywrze. Trybunał i obecna publiczność słuchali z największém zadowoleniem opisu życia tego osobliwszego człowieka, jakotéż jego jasnego wykładu najzawilszych zadań matematyki, a między obecnymi było wielu takich, na których pomoc i wsparcie Lacomme odtąd z pewnością liczyć może.

Na drodze z Jas do Odesy ma się, podług doniesienia pism niemieckich, znajdować w pewnéj wsi, tuż przy gościńcu, duży piękny dóm z również obszernym i wytwornym ogrodem. Nad bramą umieszczony jest napis: »Ten dóm przeznaczył bojar B. testamentem dla wszystkich przejéżdżających, bez różnicy stanu, religii i narodowości.« Każdy podróżny bywa tam przyjmowanym i przez dwa dni goszczonym, nie potrzebując nic za to płacić; owszem, ubożsi dostają przy odejściu jeszcze 2 złr. na drogę. Każdy podjęty tak podróżny wpisuje się w księgę gościnną, w któréj jednak, lubo ta fundacyja od lat 50 już istnieje, bardzo mało imion jest zapisanych.

Zabobony we Francyi. Niktby nie uwierzył ile jeszcze zabobonów w powszedniém życiu Francyi się gnieździ. I tak np. panuje w Paryżu, we wszystkich stanach, powszechne mniemanie zabobonne, iż piątek jest dniem nieszczęśliwym. Ztąd téż nie przeprowadza się nikt dnia tego. Do przeniesienia sprzętów z jednego domu do drugiego są w Paryżu osobne zakłady najemne, utrzymujące swoje konie i swoich ludzi. Przy częstych zmianach mieszkań w stolicy, nie można tych koni i ludzi dostać codziennie, lecz trzeba je kilka tygodni naprzód zamówić; wszakże w piątek są one zawsze niezatrudnione, gdyż nikt się nie przeprowadza.— W okolicy miasta Rouen powtarza się coroku, dnia 26go lipca osobliwszy zabobonny zwyczaj. W każdéj wsi ustawiają dnia tego w pobliżu kościoła wielki stos drew, mający 3 do 4 sążni wysokości. Skoro stos jest gotowy, udaje się pleban parafijalny z procesyją na miejsce, odprawia tam mszę św., podpala stos, i obszedłszy go trzy razy śród spiewów, odchodzi. Teraz rozpoczyna się zgiełk i wrzawa, jakiéj sobie trudno wystawić. Cały tłumnie zebrany lud rzuca się na stos w płomieniach, i rozchwytuje płonące polana, które mają uchodzić za najlepszą ochronę od piorunów i ukąszenia psów wściekłych. Rozumié się, iż przy każdéj takiéj uroczystości, wszystkie poblizkie domy są w wielkiém niebezpieczeństwie od ognia, lecz żadne uwagi i przedstawienia nie mogą ludu od tego zabobonu odwieść.

Niebezpieczność chemii dla dam. W ciągu jednego z ostatnich odczytów sławnego profesora chemii, Faradaya w Londynie, gdy właśnie bardzo ciekawemu eksperymentowi się przypatrywano; pewna obecna dama nagle posiniała. Była ona uróżowana, a wpływ przedsiębranego w téj chwili rozkładu chemicznego przemienił śród powszechnego śmiéchu jéj róż w najczystsze indigo. Piękna sina dama nie postrzegła się zrazu o zaszłéj na jéj obliczu zmianie, i zaczęła się także śmiać serdecznie. Wkońcu jednakże podszepnął jéj ktoś właściwą pobudkę téj publicznéj wesołości, a biédna zkłopotana oddaliła się czémprędzéj, zakrywszy sobie twarz chustką.

»Bojaźń i odwaga udzielają się jak choroby zaraźliwe;« uczynił ktoś uwagę. — »Tak,« odpowiedziano mu, »z tą różnicą, że bojaźń udziela się 10 razy prędzéj niż odwaga.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.